№ 12.

PRENUMERATA WYNOSI w Warszawie:
Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 35
rocznie . . . . . rb. 5 k. —
za odnoszenie do domu rb. — k. 10
zmiana adresu . . . . . k. 15

WARSZAWA. KRAKÓW.

25 Marca 1911 r.

PRENUMERATA w Krakowie:
kwartalnie kor. 4, rocznie kor. 16.
W GALICYI I AUSTRYI
kwartal. kor. 4.40, rocznie kor. 17.60. Zmiana adresu 40 hal.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rb. 1.50
rocznie . . . . . rb. 6.—
We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie rb. 1.60.

Redakcya i Administracya w Warszawie, Aleja Jerozolimska 49. Filia w Łodzi, ul. Piotrkowska 81, tel. 12.00, firma „Promień". *Reprezentacya na Galicyę: Kraków,* ul. Zyblikiewicza 8. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha.

CENY OGŁOSZEŃ:
Za wiersz petitu jednoszpaltowy i jego miejsce na stronie zewnętrznej okładki kop. 20, na wewnętrznej kop. 15. W tekście kop. 30. I strona okładki kop. 40.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Aleja Jerozolimska 49.**

Teatr dla młodzieży

Byłem po raz pierwszy w teatrze mając lat jedenaście. Grano w Rozmaitościach komedye: „Fałszywy wielki tron" i „Piękna młynarka". Słuchałem uważnie, ale pamiętam, żem prawie nic niezrozumiał. Ubawiło mnie tylko, gdy jakiś jegomość w krótkim fraczku ścigany przez kogoś, schował się do skrzyni, stojącej przed młynem, a potem podniósłszy wieko wysadził z niej białą, omączoną głowę. Cały teatr trząsł się od śmiechu—więc i ja się śmiałem, niewiedząc dobrze dla czego. Niepojąłem wtedy, że ten pan w skrzyni był adonisem, umizgającym się do wabnej żony młynarza, a przestraszonym pogonią jej zazdrosnego męża. Na dziecięcej duszy to przedstawienie nie zostawiło głębszego śladu, spłynęło po niej, jak woda z dachu podczas deszczu.

Było to o ile pamiętam w 1860 roku. Potem nastąpiła żałoba, lata wrzenia patryotycznego. Według współczesnego satyrycznego wiersza „Niebajka"—„kraj co miał teatr w rządzie na teatr nie chodził". Potem straszne chwile styczniowego powstania—nikt nie myślał o teatrze, zajęty wielką narodową tragedyą.

Zupełnie inaczej podziałała na mnie scena, gdym w 1865 roku jako szesnastoletni młodzieniec był na przedstawieniu tragedyi Małeckiego „List Żelazny" w Teatrze Wielkim. Ten wieczór był decydującym w mojem życiu. Powaga i groza tragedyi wstrząsnęły mnie do żywego, piękny język dźwięczał w uchu urokiem zamarłej przeszłości, której obraz wskrzeszony, dotykalny, przykuł moją uwagę, zapadł głęboko w duszę. Był to początek tego nieprzepartego pociągu, który mnie w jedenaście lat potem uczynił sługą... Melpomeny. Grały wtedy Rakiewiczowa, Palińska, Chomanowski, Panczykowski, Anastazy Trapszo a w głównej roli występował aktor sceny wileńskiej Nowiński. Do dziś dnia pamiętam jak Krajczy deklamował z patosem i przejęciem się wielki monolog po scenie z matką, jak Rębajło gładził wąsa i gniewnie łyskał oczyma, jak umierał Starosta, z błędnym, szklistym wzrokiem słaniając się na fotel, jak Podkomorzy krzątał się po komnatach pańskiego zamku z zawiniętymi na plecach wylotami szarego kontusza... Pamiętam dokładnie bolesne akcenty matki-chłopki korzącej się przed synem-paniczem; mógłbym o tem przedstawieniu napisać sprawozdanie jakoby o sztuce, którą wczoraj widziałem!

Otóż te dwa przykłady według mnie dobrze ilustrują wpływ i znaczenie teatru dla umysłu i charakteru dzieci oraz młodzieży.

Dla umysłu dziecka, który wyłania się z instynktów dążąc do świadomości, dla którego życie i świat są grą zjawisk niepojętą, migotliwą — widowisko sceniczne powinno być jak bajka piastunki, do snu kołysząca... W warunkach naszego życia, ciężkich i denerwujących, nie trzeba przedwcześnie obudzać przeczulenia ani wrażliwości dziecięcej. Do lat dwunastu najlepiej gdy dzieci bawią się tylko grami sportowemi, piłką, bieganiem, zabawkami prostemi, nieskomplikowanemi. Nowszy system wychowania zresztą obmyślił dobrze cały szereg gier, zajęć i robót, który rozwija stopniowo władze umysłowe. Wedle wskazówek racyonalnej pedagogiki, wczesne prowadzenie dzieci do teatru nie jest pożądanem—tak jak wszystko, co może przeczulić nerwy i przyśpieszyć gorączkowo rozwój procesu myślenia. Bytność w teatrze powinna być wyjątkową uroczystością, nagrodą za pilność i dobre sprawowanie. Najwłaściwszym pokarmem dla umysłów dziecięcych jest baśń fantastyczna, legenda, która urodziła się wśród zarannego świtania cywilizacyi ludzkiej. Nie sceny lub obrazy życia powszedniego, nie szara proza, ale klechda, która opowiada o cudach, czarodziedziejach, dobrych wróżkach, która daje ludzką duszę zwierzętom i kwiatom, ożywia martwe przedmioty, puszcza je w pląs fantastycznie, wedle starej, znanej banialuki: „tańcowała ryba z rakiem, a pietruszka z pasternakiem!" W tym rodzaju jedynym oryginalnym utworem przed kilkunastu laty była „Szklana góra" Sarneckiego, ferya zakrojona chwilami po nad miarę umysłów dziecięcych, bajka przeznaczona dla „starych dzieci". To pewne, że ten bajeczny, klechdowy charakter ma urok nie tylko dla „milusińskich", dla chłopczyków i dziewczynek—ja sam do dziś dnia lubię czarodziejskie szopki, lubię patrzeć ne grę fantastycznej ułudy, która okala wyobraźnię jakby mgłą przyćmiewającą ostrość realnego widzenia rzeczy. Najwłaściwszą w tym rodzaju okazała się osnuta na tle bajki Grimma sztuka czarodziejska „Kopciuszek", którą p. Adolf Walewski przyswoił i zlokalizował, a ja w 1903 r. po raz pierwszy wprowadził na scenę krakowską. Szczególniej rozkoszne były przedstawienia nadzwyczajne tej baśni, dawane dla wychowańców miejskich i ludowych szkół początkowych. Tysiąc kilkaset główek dziecięcych roiło się na wszystkich piętrach sali teatralnej. Podczas przedstawienia cisza, czasami tylko przerywana lekkim okrzykiem zadziwienia, albo tłumionym, perlistym śmiechem. A gdy kurtyna zapadła, wszystkie prawie usteczka poruszyły się, twarze i oczy zajaśniały radością, tysiące gardziołek głos wydało i cała sala brzęczała niby olbrzymi rój pszczelny. Znać, że dla tej dziatwy przedstawienie było wielkiem świętem!

Znaczenie teatru dla młodzieży doroślejszej da się prosto i łatwo określić. Takie tylko sztuki i przedstawienia są pożądane, które niezależnie od wartości artystycznej, odpowiadają celom pedagogicznym. Więc sztuki, które budzą wrażenia szlachetne, podniosłe, które stawiają przed oczy młodzieży obrazy walki człowieka z losem, albo zgubnego zamętu demonicznych namiętności ludzkich. Sztuka sceniczna jak i każda sztuka działa emocyonalnie, a przedewszystkiem na wyobraźnię i uczucie—młodzież szuka wzruszeń głębokich, dlatego tragedya i dramat dziejowy znajdą najżywszy oddźwięk w duszach i umysłach wstępujących na próg szerszej samowiedzy i samodzielnego duchowego życia. Nie chodzi tu o zdawkowy morał, tendencyę dydaktyczną, ani dopełnienie nauki szkolnej. Młodzież ma tego dosyć na wykładach, kazaniach i rekolekcyach. Chodzi o zabawę szlachetną, wzruszenia silne i głębokie, lub o zdrową, pokrzepiającą wesołość.

Ponieważ scena nie istnieje dla małoletnich — ale musi być areną swobodnego

obrazowania obyczajów i drażliwych często zagadnień współczesnego życia—przeto konieczną jest kontrola rodziców i wychowawców nad uczęszczaniem młodzieży do teatrów. Ułatwiają tę kontrolę przedstawienia specyalne, które i u nas od niedawnego czasu zostały wprowadzone—chociaż ostatniemi czasy młodzież mniej skwapliwie śpieszy na nie, przygnieciona ciężarem zajęć nadmiernych. Nie trzeba winić o to młodzieży—ale raczej system, który gnębi umysły i odbiera im swobodę, kradnie urok tych chwil rozkosznych, gdy myśl strudzona odżywia się podniosłemi wzruszeniami. Litujemy się nad koniem, który morduje się dźwigając pełne ciężaru wozy, tymbardziej godnym współczucia jest umysł młodzieńczy, objuczony zbytecznym balastem, narzuconym dla względów, niemających nic wspólnego z racyonalną pedagogiką. Martyrologia umysłowa młodzieży naszej i marnowanie jej sił, jest to smutna karta dziejów wewnętrznych naszego społeczeństwa, które niestety w tym kierunku bywa często bezsilne.

W każdym razie z całą stanowczością należy przestrzedz rodziców i wychowawców, aby odwodzili młodzież od utworów realistycznych i naturalistycznych, które podają spotęgowane, pełne gryzącej ironii obrazy nędzy życia. Pesymizm jest dobrym dla umysłów silnych i wyrobionych. Na dusze kształtujące się dopiero działa jak mróz ścinający kwieciem i pąkami okryte drzew gałęzie. Ulubiona zaś przez filistrów operetka, powinna być tak samo wzbronioną, jak sprzedaż małoletnim napojów wyskokowych. Uczy ona drwiny dla drwiny, zbywania śmiechem i konceptem najpoważniejszych stron życia, jest podobną do zblazowanego hulaki, który ma przyrośnięty do twarzy drwiący uśmiech. Niechaj się nią bawią filistrzy, którzy żyć nie mogą bez arlekinady, kuplecika, walczyka, kankanika, niech się upajają jej pieniącą werwą ludzie, którym potrzebna w życiu i pracy szampańska podnieta—ale młodzież powinna być zdolną do miłości piękna, uczuć podniosłych, obywatelskich, a nie do szykany i drwiny za każdą cenę. Otuchę i pokrzepienie powinna jej dawać przedewszystkiem poezya, ta pocieszycielka, czasami przewodniczka narodów, której powołaniem jest, „zjadaczy chleba w aniołów przemieniać"—wśród szarej prozy życia podnosić cześć dla ideału, podziw dla tężyzny i heroizmu ducha.

Dla tego pedagogiczne znaczenie mają przedewszystkiem dzieła greckich tragików, dramaty Szekspira, Szyllera, Słowackiego, komedye Moliére'a i Fredry, wszelkie utwory o szlachetnym nastroju lub szerszem polu fantazyi. Niestety jednak, rozwój tej najprzedniejszej gałęzi repertuaru jest tamowany w Warszawie przez niski poziom estetyczny kultury i płaskość gustów, nawet w tych sferach, które mają pretensyę do reprezentowania wykwintu cywilizacyi. Ale działalność w tym kierunku nie jest bezpłodna. Rzuca ziarno na zagony przyszłości—jest trudem, który wedle pięknych słów Asnyka:

... w przyszłych czynów rycerskiej postaci
Zapomnianemu sprawcy się wypłaci.

Józef Kotarbiński.

W następnych numerach w tej samej sprawie zabiorą głos doświadczone wychowawczynie i rodzice młodego pokolenia.

ANTONI MIECZNIK.

KU PRAWDZIE.

2)

Potem już przez całą noc myślał i marzył o Chrystusie, promieniejącym słodyczą, która kroplami błogosławieństwa spadała na dusze chłopiąt, ale tego Chrystusa w plastycznym kształcie już nie ujrzał. Uczuł przytem w sercu rozdwojenie, jakiego nigdy dawniej nie doświadczał: widział siebie, jakim mógłby być, gdyby myśl boża ciągle kierowała życiem jego, i tym, jakim był w tej chwili. Czemże był?—Sławnym artystą, którego obrazy chętnie kupuje świat bogaczy i zawiesza w swych pałacach, — sławnym artystą, co potrafił istnienie ludzkie z przed wieków odtworzyć i ożywić... Zazdrosnemi spojrzeniami obrzucali go koledzy starsi i młodsi, mówiąc: udało mu się, ma szczęście, umiał sobie zjednać względy parweniuszów... A on wiedząc o tem, śmiał się, bo był sławnym artystą, któremu nawet zazdrość sączyła się do duszy jako pochlebstwo.

Malował dla ludzi, odtwarzał świat inny—nie ten, co się kurczy od cierpień rzeczywistych, nie ten, na który spoglądał obojętnie,—on zastygł w swej twórczości „martwego życia"...

I oto rodziła się w nim myśl przemocna: tamto, co tworzył, było tylko cieniem, było tworzeniem dla bogatych, było niczem, snem...

Tworzyć dla siebie!—to cel.

Postanowił więc owego Chrystusa namalować dla siebie, z potrzeby wewnętrznej, z umiłowania całą poezyą duszy, boskiego tematu.

Słowik, ukryty w liściach jaworu, śpiewał pieśń poczynającego się lata, a odpowiadał mu drugi przeciągle, z jaśminów i plączów bluszczowych. Szedł zapach mocny od różanego i jaśminowego kwiecia i napełniał celę zakonną, taką cichą, smutną, jak dusza myślącego o istnieniu swem człowieka.

Nazajutrz Skalski stał od samego rana przy płótnie; był po za myślą, cały oddany pracy twórczej. Od czasu do czasu spoglądał rozmarzonem okiem na las, wieńczący wzgórze, które łagodnie rozszerzało się w łączkę, okalającą oba brzegi rzeki.

Ten krajobraz spokojem swoim czarował artystę. Chrystus na skraju lasu pochylony nad główkami dziecin, zasłuchanych w jego słodkie słowa...

— Chrystus jest spokojem i słodyczą—drżała myśl-czucie w sercu Skalskiego. — Takim go uczynię na swym obrazie.

Tego dnia nie widział się z rektorem, kazał sobie przynieść obiad do celi, zjadł i znów się zabrał do pracy.

Ostatni promień zachodzącego słońca musnął zmęczoną rękę artysty. Skalski obudził się z twórczego marzenia, bo obudziła się w nim myśl. Zamienił się w surowego krytyka i sędzię. Obraz prawie całkowicie był naszkicowany, niemal gotów do wykończenia. I zdumiał się: nigdy tyle nie namalował, co przez dzień dzisiejszy, bo nigdy nie malował dla siebie, lecz dla innych ludzi. Twórczość jego była schlebianiem możnym tego świata, za co brał pieniądze i żył, jak pan, bez troski o jutro.

Na skraju lasu stał Chrystus, stopy jego ledwie dotykały miękkiej, soczystej trawy, wśród której w świetle popołudniowego słońca migotało kwiecie złote i srebrne. Otaczały go same dzieci — i przyjmowały słowa błogosławieństwa radośnie.

... Spokój słodki, spływający do dusz niewinnych wraz z błogosławieństwem człowieka - Boga miał wyobrażać obraz, a Skalskiemu wydało się, że wyobrażał sielankę, która po wykończeniu mogła być nawet bardzo piękną i zajmującą. Sielankowy, fikcyjny spokój, marzenie o boskości rozdwojonej duszy... co nie wiedząc o tem, gięła się w splotach niepochwytnego cierpienia.

Słońce zaszło. Skalski usiadł zmęczony. Miał takie wrażenie, jakby ktoś za nim stał i mówił: „To nie to, to nie tak, człowiecze... Chcesz wydzielić z siebie spokój boski, którego nie masz. Twój Zbawiciel nie zbawia: to dobry pan, co ciebie i innych ludzi, co zwodzi niewinne dusze, które przecież są, zawsze będą, gdyż od nich poczyna się świat zjawy".

Na pięknej, męskiej twarzy artysty rozlało się zniechęcenie, w oczach mu zamigotał smutek; opuścił ręce bezwładnie na kolana i tak już pozostał.

Naraz cicho otworzyły się drzwi. Do celi wszedł ks. Andrzej.

— Dzień dobry, a raczej dobry wie-